

Sporo wcześniej słyszałem o Beenhakkerze – i dobrze i źle – ale teraz wiem na pewno, kim jest naprawdę. To człowiek o usposobieniu, wizji futbolu i filozofii życiowej mocno zbliżonej do mojego jednego z największych przyjaciół, Kazimierza Górskiego. Odszedł od nas na zawsze, już nie pójdziemy razem na mecz, nie pogwarzyśmy o piłce, nie wybierzemy się do SPATiF-u na ruskie pierogi i nie wypijemy „Pod Retmanem” lub w „Europejskim” „harcerzyka”, ale ja wciąż będę miał w uszach Jego śpiewnie brzmiące credo:

– „Jerzyk, dziś możemy lekko pohulać, ale już jutro ostro bierzemy się do roboty. Wbijam to często do głowy zawodnikom. Mówię im... Wszystko jest dla ludzi, to znaczy czas na pracę i odpoczynek i czas na zabawę. Jak pracujemy to z pełnym poświęceniem... Jak odpoczywamy, to z korzyścią dla zmęczonego ciała... A jak się bawimy – no, to dla dobra ducha. Będzie wtedy zdrówko i dobre samopoczucie. Jak to mówili starożytni Rzymianie? Mens sana in corpore sano... Tylko mente kaptus inaczej widzi ten świat...

Gdyby żył Kazio i gdyby mógł spotkać się z Leo na kawie, zapewne nie raz i nie dwa serdecznym uściskiem dłoni kończyliby swoje niekonwencjonalne „trenerów rozmowy”, dając tym wyraz podobnego widzenia futbolu. Górskiego, niestety – już nie ma, pożegnaliśmy Go na Powązkach w maju 2006 roku, jak Wielkiego Męża Stanu, a Bennhakker jeszcze nie czuje się u nas tak, jak u siebie w domu. Ubolewa: *„Podczas każdej rozmowy o polskiej piłce słyszę narzekania i skargi, ale nikt nigdy nie powiedział, co robić, żeby było lepiej. Nigdy nie słyszałem żadnej konstruktywnej sugestii, tylko krytykę”*... Gdyby Leo znał słowa i melodię tanga **„Powróćmy jak za dawnych lat”** i mógł w jego porywającym rytmie właśnie z pasją pogwarzyć o futbolu z Górskim, z radością mógłbym się do nich przyłączyć i mieć pewność, że w ich towarzystwie wzbogacę swoją wiedzę o tej pięknej grze. A potem w tym męskim trio zanucić: *„I w życiu może zdarzyć się cudowna baśń...”*

Mam tu na myśli pierwszy w historii naszej reprezentacji udział w turnieju finałowym mistrzostw Europy. Start, istotnie był fatalny, zresztą w minorowym po Mundialu nastroju i bezpardonowych atakach skierowanych na PZPN, a pośrednio i na reprezentację nawet ze szczytów sportowej władzy, inny być nie mógł. Ale nagle nie we śnie, lecz na jawie, ba – na oczach kilkudziesięciu tysięcy kibiców, rzeczywiście, „jak za dawnych lat” po wygranych z ZSRR, Anglią, Holandią i Włochami, znowu „zdarzyła się cudowna baśń”. Polska wygrała z Portugalią, aktualnym wicemistrzem Europy i czwartą drużyną świata! My, naprawdę nie gęsi!...

Jesienią anno 2006, po pierwszej połowie sezonu tak nieudanego, wygrana 2:1 w Chorzowie urosła do rangi wydarzenia na skalę międzynarodową. Jednak Polak potrafi! Wiwatowano na tę okoliczność w całym kraju? Cieszono się we wszystkich redakcjach sportowych i w gronie ludzi „trzymających władzę?”. O, ludzka naiwności! Nawet z łamów pism rzadko w gorącej wodzie kąpanych polał się na Holendra ukrop wyjątkowo dokuczliwy. Już to sugerowano, że „**Leo sam na pustyni**”, już to kpiono, że „**Leo zastygł**”, dając przy tym do zrozumienia, że „*dwadzieścia cztery nazwiska i tak naprawdę żadnej niespodzianki – to kadra Polski na spotkanie z Belgią w Brukseli*”. Ubolewam, bo ściśle to korespondoowało z nieprzychylnymi reakcjami „uzdrowicieli” polskiego piłkarstwa właśnie po efektownej wygranej z Portugalią. W periodyku PZPN „POLSKA PIŁKA” w felietonie pt. „**Ku pokrzepieniu i przestrodze**” trafnie to opisał red. Ryszard Niemiec.

..., Zwycięski nokaut naszej reprezentacji mocno pomieszał szyki sporemu gronu życzliwych, próbującym na antyfutbolowym ogniu upiec własną pieczeń i zrobić interes polityczny... Byli zszokowani i zawiedzeni, bo nasi grali, jak uskrzydleni... Wyznawcy poglądu o kryzysowym dniu polskiej piłki musieli spuścić nos na kwintę. Panowie posłowie, wśród których wypatrzyłem autora dono-

sów do ministra (na PZPN) stali pod ścianą osamotnieni, niczym panny na festynie, których żaden kawaler nie prosi do tańca”.

I dalej:

... „Redaktorzy warszawskiego dziennika już po pół godzinie meczu nadawali z łoża prasowej dyrektywę, wywracającą misternie przygotowane wyprzedzeniowo materiały na okoliczność zakładanej klęski. Specjalny wysłannik do Chorzowa innego organu przyjechał jedynie po to, aby utrwalic Beenhakera w pozie wielkiego przegranego, którego nazajutrz wezwie się do dymisji... Rosnąca w siłę grupa inicjatywna, poszukująca kandydatów na miejsce Listkiewicza, z obłudą klepała po plecach roztrzęsionego prezesa... W nieciekawej sytuacji znaleźli się sternicy spółki Orange Ekstraklasa, którzy stawili się w Chorzowie w pełnym składzie. Parę godzin przed meczem tokowali na wyprzódki, że PZPN w aktualnym kształcie, to struktura anachroniczna, niefunkcjonalna, wyzbyta możliwości generowania sukcesu sportowego”...

Jestem wzruszony. W przypiływie najbliższych pomysłów nie przyszło by mi do głowy, że wśród współczesnych „arcybraci dziennikarskich” znajdzie się choć jeszcze jeden taki, który na obecny stan naszej Rzeczypospolitej piłkarskiej spojrzy mniej więcej tak, jak ja, krytycznie, ale rzeczowo, znajdzie przy tym tyle odwagi i mocnych argumentów merytorycznych, w efekcie w miarę skuteczną odtrutką zdezynfekuje już tak daleko posuniętą antypezetpeenowską infekcję grasującą od ponad roku w instytucjach opiniotwórczych i decydenckich. Tam futbolowa awersja niczym hydra się odradza i wciąż kąsa złośliwie. Kreatorzy tych złośliwości dobrym wychowaniem oczywiście nie grzeszą, wiele spraw ważnych dla przyszłości futbolu omawiają bez udziału kierownictwa PZPN i w świetle kamer telewizyjnych z uporem rozdrapują powoli, ale systematycznie leczone przezeń rany.

Widać wyraźnie, że nie o to tu idzie, tylko o przepędzenie Listkiewicza i obsadzenie stołków w piłkarskiej centrali swoimi ludźmi. Gdyby żył Górski, zapewne „Listkoland” broniłby z taką samą żarliwością, jak u schyłku ubiegłego stulecia znienawidzony przez te same siły zwycięski „Dziuroland”. Być może historia się powtórzy, bo FIFA i UEFA nie za bardzo lubi, gdy ktoś na jej podwórku wcale nie proszony usiłuje robić porządki. Sepp Blatter stawia sprawę jasno: – *Nie mamy problemów z polskim futbolem, tylko z polskim prawem... Jeśli są winni, wsadźcie ich do więzienia. To nie nasza sprawa. FIFA zaakceptuje każdego prezesa PZPN, który zostanie wybrany legalnie, zgodnie ze statutem*”. Sęk jednak w tym, że minister sportu Tomasz Lipiec wolałby, żeby na Miodowej rządził komisarz. Rozgrywka trwa!

Wygrana z Portugalią nie złagodziła napięcia i nie poprawiła klimatu na linii Ministerstwo Sportu – PZPN. Związek nadal wykonywał swoje zadania w warunkach „oblężonej twierdzy”. Widać nie wszystkim i nie wszędzie zwycięstwo nad tak dobrą drużyną przypadło do gustu. Może gdyby już wysłano Listkiewicza na „zieloną trawkę”, radość jego przeciwników była by większa, a tak – cholera, ten przeklęty „Misio” znowu zebrał kilka dodatknych punktów i zapewne znowu będzie grał na zwłokę. Wprawdzie lada dzień odbędzie się od dawna oczekiwane kolejne Nadzwyczajne Zgromadzenie PZPN, ale mało kto wie, co tam znowu wymyśli znienawidzony przez władzę prezes i czy wreszcie tak, jak zapowiadał odda ster któremuś z faworytów Ministerstwa. Czujna prasa starała się wysondować opinię u samego prezesa i opisać to piórami swoich najznakomitszych rycerzy.

Krzysztof GUZOWSKI i Stefan SZCZEPŁEK (Rzeczpospolita).

– Warto tak długo się bronić?

– Nic nie zwiastowało, że stanę się pożywką dla krwiożerców... Otrzymałem mocno prztyczka w nos, gdy nie wpuszczono mnie na spotkanie Pana Pre-

miera z delegacją UEFA. Zacisnąłem zęby, ponieważ są sprawy ważniejsze, niż moje osobiste odczucia...

– W PZPN gościły liczne kontrole. Ma pan jakieś zarzuty?

– Żadnych. Organy ścigania wywierają na mnie i na wiceprezesa Eugeniuszu Kolatorze nacisk psychiczny... Opinii publicznej wmawia się, że niedługo nas aresztują, najlepiej w świetle reflektorów i kamer...

– Jan Tomaszewski...

– Był moim doradcą, szefem Komisji Etyki, wcześniej trenerem, gdy selekcjonerem został Strejlau... Ale po każdym nieporozumieniu trzaskał drzwiami.

– Dlaczego nie powiadał pan... organów ścigania?

– Bo nowelizacja przepisów prawa o przestępstwach sportowych nastąpiła dopiero niedawno. Wcześniej, gdy doszło do tych zdarzeń, na takie zachowania nie było w kodeksie karnym odpowiedniego paragrafu...

Paweł ZARZECZNY (Dziennik):

– A pan nie brał?

– Nikt, kto działał w piłce, nie jest kryształowy, ale za moich czasów sędziego to się najwyżej na dobrą kolację zapraszało.

– A dziś?

– Młodzi sędziowie, to zresztą nie nowina, są często aroganccy, bywa, że ubliżają zawodnikom. Na mnie są wściekli, że zrobiłem ich szefem trenera Strejlaua i uznają mnie teraz za zdrajcę...

– W ogóle przyzna się pan kiedyś do jakichkolwiek błędów?

– Zgoda, byłem często naiwny, zbyt wielu ludziom ufałem.

– Żeby kierować skutecznie związkiem piłkarskim, powinno mieć się wsparcie rządu. Pan go nie ma...

– Tak pan sądzi? Zależy, w jakich kwestiach. Jeżeli chodzi o organizację EURO, jest pełna współpraca dla dobra Polski...

Janusz ATLAS (Piłka Nożna):

– Dlaczego nie podał się pan do dymisji po powrocie z nieudanego niemieckiego mundialu?

– Nie widziałem powodu, bo czy wtedy zrezygnowali ze swoich funkcji prezesi innych federacji, które przegrały w złym stylu mistrzostwa świata: Czech, Chorwacji...

– Dlaczego zatrudnił pan Beenhakkera bez konsultacji z Wydziałem Szkolenia i Radą Trenerów? W dodatku za niewyobrażalne w naszych realiach pieniądze?

– Rozmawiałem ze szkoleniowcami, ale taka decyzja leży w wyłącznej gestii prezesa. Tak samo decydowałem wcześniej o zatrudnieniu Jerzego Engela, Zbyszka Bońka, Pawła Janasa...

– Dlaczego, nie pomny doświadczeń Mariana Dziurowicza, postanowił pan mimo wszystko trwać?

– Dzisiaj wychodzi na to, że świętej pamięci Dziurowicz miał rację. Nie dał się zastraszyć i wygrał. Swoją twardą postawą obronił Związek od zawieszenia przez FIFA i UEFA...

– Dlaczego dla swojej obecności w PZPN znajduje pan naiwne tłumaczenie, czyli lobowanie dla Polski organizację EURO 2012. Naprawdę wierzy pan, że UEFA zaufa krajowi tak skłóconemu i rozbitemu wewnętrznie?

– Ciągle wierzę, choć nie mam już takiej pewności, jak choćby rok temu... Ale ponieważ jest jak jest, uważam, że nadal mamy tylko szanse...

– Dlaczego zamiast bronić się przed atakami stara się pan kaptować wrogów, którzy i tak później używają sobie na Listkiewiczu, jak na łysej kobyle?

– Taki jestem. Już w biblii przykazano – kto w ciebie kamieniem, ty w niego chlebem. Ale zgadzam się – to skaza na moim charakterze, że wybaczyłem nie-
lojalnym ludziom, chociażby Janowi Tomaszewskiemu i nawet niektórym dzien-
nikarzom, którym ratowałem skórę, a oni tym bardziej mnie potem opluwali...

LISTKIEWICZ PRZEPRASZA

Bardzo mnie ujęła w miarę pogodna forma przeprowadzonych rozmów dobrze mi znanych dziennikarzy (poza Guzowskim z każdym z nich pracowałem w tygodniku „Piłka Nożna”) z prezesem PZPN. Treść zadawanych pytań i dość szczerych odpowiedzi, ich sens jest zbieżny z moimi spostrzeżeniami w tej złożonej kwestii. A jednak w wywodach Listkiewicza zabrakło mi jednego bardzo ważnego słowa – PRZEPRASZAM. Nie, nie tylko za „przewlekłą chorobę infantylizmu” i niedoróbki w związkowym STATUCIE. Nie za uznanie w PZPN „Fryzjera” za „persona non grata”, nie za upór w wyborze selekcyonerów, nie za błędy Janasa i „widzi-misie” właścicieli niektórych klubów ligowych, nie za balangi prowincjonalnych działaczy i nie wyłącznie za korupcyjne ciągoty arbitrow. Nie powinien się też spowiadać za powierzenie nad nimi „wychowawczej” opieki Andrzejowi Strejlauowi W „zaprzyjaźnionych” z prezesem mediach powiedziano i napisano na ten temat już bardzo dużo, dużo więcej, niż trzeba. Z pasją „przepraszano” za tak „nieudolne” kierowanie PZPN-em. Michał Listkiewicz powinien natomiast przeprosić wszystkich oponentów, głównie ze szczytów sportowej władzy za to, że:

- siedzibę PZPN zdołał, choć jeszcze w małym procencie, przybliżyć do norm obowiązujących w innych federacjach będących członkami UEFA i FIFA;
- w miarę systematycznie upodabnia wewnętrzne struktury Związku do wzorcowych konstrukcji europejskich i światowych federacji;
- przywrócił w PZPN Wydział Szkolenia;
- potrafił porozumieć się z ligowymi klubami i wspólnym z nimi wysiłkiem utworzyć Piłkarską Ekstraklasę S.A.;
- dzięki zwykłej ludzkiej wyrozumiałości i cierpliwości wspólnie z Eugeniuszem Kolatorem, równie jak on bezceremonialnie oczernianym, uratował przed niechybną zagładą kilka bardzo znanych klubów ligowych;

- doprowadził do utworzenia w 16 Wojewódzkich Związkach Młodzieżowych Ośrodków Szkolenia Piłkarskiego;
- przygarnął do „rodziny” futbol kobiecy i halowy;
- potrafił pozyskać sponsorów i promować krajowy futbol w mediach elektronicznych;
- wydaje pismo związkowe „POLSKA PIŁKA”;
- cieszy się dobrą opinią w europejskich i światowych federacjach piłkarskich;
- nie „pęka” przed rażącymi oskarżeniami i typowo politycznymi naciskami ministra sportu;
- ma odwagę (co za bezczelność!) razem z Ukrainą zabiegać o organizację w Polsce mistrzostw Europy seniorów;
- zaufał Beenhakkerowi, a ten odpłaca to coraz lepszymi wynikami reprezentacji;
- mimo braku w Polsce stadionów z prawdziwego zdarzenia doprowadził w roku 2006 do przeprowadzenia w Wielkopolsce mistrzostw Europy reprezentacji młodzieżowych (Under-19);
- występuje w roli współczesnego filantropa wobec wielu instytucji użyteczności publicznej, dzieci, młodzieży, zakładów opiekuńczych i osób srodze pokrzywdzonych przez los.

To nader skromny, tylko wybiórczo potraktowany wykaz spraw (jest ich wszak dużo więcej), taki „parszywy mendel społecznych działań” Michała Listkiewicza, więcej – o charakterze przestępczym, obliczonych na pokaz i zamówienie „kolesiów” z UEFA i FIFA. Gdyby jednak to samo, może nawet z gorszym skutkiem, zrobił ktoś inny, „nasz” – a nie z wrażego „układu”, to wszystko było by o’key, w porządku, może nawet „cacy”, zasługujące na publiczne wyróżnienie. A tak, ten „szkodnik” zasługuje wyłącznie na bicie w „kaczy kuper” i na długie lata zakucia w kajdany. W tej sytuacji zdumiewać

może niezwykle odważne wystąpienie Andrzeja JANISZA w radiowej „Muzyce i aktualności”:

...„Zło postanowiono wypłenić przez działania wrocławskiej prokuratury... To Michał Listkiewicz prezes PZPN, ustawiony przez bulwarowe gazety w roli wroga numer jeden. Według nich to on ponosi główną winę za korupcje w polskim futbolu, on odpowiada za sędziowskie pomyłki, przyczynił się do tego, że piłkarze słabo zagrali w mistrzostwach świata w Niemczech, również to on spowodował, że od 10 lat nie ma mistrza Polski w Lidze Mistrzów. I używają sobie od dawna na Listkiewiczzu, co normalnie dziennikarzowi nie przyszło by kiedyś do głowy. Teraz wolno jednak wszystko...

Nie twierdzę, że Listkiewicz jest człowiekiem bez żadnej winy, również idealnym prezesem PZPN. Skala podsycanej nienawiści przekroczyła już jednak granice wszelkiej przyzwoitości... A teraz na czele frontu odnowy, stoją ludzie, którzy nieposzlakowanymi postaciami nie są... Łatwo jest pluć na każdego, bez względu czy ma się dowody. Taki to już nasz obyczaj narodowy, łatwiej zgnoić, niż z szamba wyciągnąć”.

Dość niespodziewanie ujawnił się – jak sądzą oskarżyciele – jeszcze jeden obrońca „przegranej sprawy”. Po Ryszardzie Niemcu właśnie Andrzej Janisz miał odwagę nieco przychylniej spojrzeć na dzisiejszą rzeczywistość piłkarską. To teraz cecha – w pojęciu homo sapiens – wyjątkowo cenna i chwalebna. Dla inkwizytorów różnych szczebli i maści jednak zasługująca tylko na pogardę. Od lat gramy z Janiszem w tej samej drużynie, łączy nas nie zakłamana sympatia do futbolu. Wciąż umiemy, wbrew stadnym opiniom besserwisserów, z pożytkiem dla tej porywającej gry chwycić za pióro lub mikrofon i rzetelnie to wszystko popularyzować. Nie bacząc, że takie niekoniunkturalne płynięcie pod prąd, nic dobrego nie wróży.

Zapewne odezwie się zaraz cały tabun pseudomoralistów i będzie usiłował zepchnąć człowieka w społeczny niebyt. Znam to z czasów „szalejącej cenzu-

ry”. Kontrowersyjną i „ponadnormatywną” postawę wytykano mi nawet w gierkowskiej dekadzie i dwukrotnie wzywano z tego powodu na dywanik w „białym domu”. Wtedy mogłem i musiałem to zrozumieć, ale dziś w całkowicie wolnym kraju i bez knebla cenzury, było by to trudne do strawienia. No bo nie ma już komitetu centralnego nieomyślnej partii, jest tam natomiast głośne centrum finansowe. To największy „wybryk historii”! Na szczęście ta zmiana jest poza zasięgiem moich doświadczeń, bo od „kasy” zawsze byłem z daleka. Wezwanie do wrocławskiej prokuratury więc mi nie grozi, choć blisko PZPN byłem przez wiele lat. Do „rodziny” pasowałem jednak tak, jak pięść do oka.

Krępujących zachowań jest w PZPN-ie teraz znacznie mniej, ale za to oskarżeń, nie zawsze uzasadnionych, dużo, dużo więcej. Mechanizm ujawniania zła i ewentualnego karania winnych jest jednak taki sam. Na rzeź różnych władz wystawia się głównie drobne płotki, co świadczyło by o tym, że tylko ci ludzie mają spaczone charaktery, są łasi na brzęczącą monetę i łatwy zarobek. Można jednak i chyba trzeba wątpić, czy działają na własną rękę. Teraz, w świetle zalewu afer korupcyjnych (i nie tylko takich!) w innych grupach społecznych, bardzo modne jest pytanie: – **Kto za tym stoi?**

Słysząc takie pytlowanie również w środowisku piłkarskim. Odpowiedzi padają różne, ale wśród osób dobrze zorientowanych góruje przekonanie, że to dużo grubsze ryby rekrutują całe bataliony ludzi do wynajęcia i za ich pośrednictwem (hojnie wynagradzanym) w miarę szybko osiągają nie tylko sportowe cele. Trzeba tu koniecznie dotrzeć od nitki do kłębka! Jednak jak na razie – być może ze względów taktycznych – do prokuratury wzywa się niemal wyłącznie ludzi figurujących głównie na legendarnej „liście Fryzjera” spod Wronek. To rażąco uproszczenie. Czyżby tylko sędziowie piłkarscy byli winni i słusznie wędrują za kraty? Słownie molestuje się jeszcze PZPN, bo tam „panowie w czerni” są u władzy, natomiast z wyjątkową galanterią, wręcz pobłażliwie traktuje się

właścicieli ligowych klubów, prezesów, a niekiedy nawet podległy im personel, po prostu ludzi do wynajęcia. Zmowa milczenia?

„Magnat junior” dał przecież wyraźny sygnał, że właśnie w klubach są największe pieniądze (kto wie, może nawet te „do prania”?), a więc chyba także przychylny klimat dla korupcji i dążenia tą drogą do sławy. Dość długo jednak odzew na hasło młodego Dziurawicza był niewielki. Dopiero po rundzie jesiennej sezonu 2006/2007 organa ścigania zaczęły nękać również ligowych potentatów. To już nieco odważniejszy (i zapewne sięgający źródeł przekupstwa) krok we właściwym kierunku. Jeśli „Fryzjer” dowodził gangiem, to ma za swoje. Jest wina, to musi być kara. Wątpliwości jednak nie ustępują: – Czy przekupionych arbitrow pan F. opłacał z własnej kieszeni? Ktoś trzeci musiał ją napełniać skoro „Fryzjer” z tego niecnego czynu podobno też czerpał niezłe zyski. Podgrzano na razie czubek góry lodowej, czas stopić całą tę plugawą bryłę!

WILKI I... ŻUBRY Z BIAŁOWIEŻY

W większości krajów europejskich władze piłkarskie odpowiadają przede wszystkim za wyniki reprezentacji. Ligi, głównie zawodowe mają tam własne kierownictwo i rządzą się swoimi prawami, nie zawsze zbieżnymi z linią narodowych federacji. Idąc tym śladem, u nas już w latach międzywojennych, a potem w połowie sześćdziesiątych liga również domagała się nieco większej samodzielności. Jednak rezultat tych dążeń do odrębności organizacyjnej i swobody szkoleniowej były z góry skazane na niepowodzenie. Całość futbolu mocno trzymał w swoich rękach PZPN. Liga owszem – gardłowano – ale wyłącznie na takich prawach, jak każdy inny wydział Związku.

Od niedawna nasza ekstraklasa ma wreszcie własne, aczkolwiek nie zawsze w pełni kompetentne i odpowiedzialne władze. Jest jednak w swej istocie

atrakcyjną spółką, traktowaną przez PZPN jako wiarygodny partner, a nie wyłącznie jako prawomyślny poddany. Nie wszyscy jednak i nie wszędzie (jeszcze teraz!) to dostrzegają, przeto za wszelkie zło, które doskwiera ligowemu piłkarstwu (a tam właśnie przeróżne formy wynaturzeń są największe), nadal obciąża się zarząd PZPN, głównie jego sternika, Michała Listkiewicza. Natomiast szef Ekstraklasy S.A. oceniany jest dobrze, bo choć liga grzęźnie w korupcji, to jej sfera atrakcyjności powoli rośnie. Wiosną 2007 roku, jak w dobrych czasach Górnika Zabrze, Legii Warszawa, Polonii Bytom, Wisły Kraków i Widzewa Łódź, aż pięć klubów, ubiegało się o tytuł mistrza Polski. Szkoda jednak, że tylko na użytek wewnętrzny. Na zewnątrz nasze kluby wciąż niewiele mają do powiedzenia.

Czy przerwie tę niemoc reprezentacja? Cieszyć się wypada, że już nie tylko Wisła Kraków i Legia Warszawa mają u siebie kadrowiczów. GKS Bełchatów, Zagłębie Lubin, Korona Kielce też zatrudniają reprezentantów. A przecież w odwodzie jest jeszcze blisko stuletni ŁKS i nieobliczalny Lech Poznań. „Kolejorz” gra widowiskowo, ale przy tym dość frajersko. Tak czy inaczej rywalizacja w czołówce jest obiecująca. Mógłby człowiek promienieć ze szczęścia, gdyby właśnie naszej ekstraklasy nie zatruwało łapówkarstwo. Wprawdzie Zbigniew Boniek, a wie co mówi, daje do zrozumienia, że „prawdziwej” korupcji, to my jeszcze nie znamy, ale to mała pociecha. Taka wiedza jest nam absolutnie zbędna. Co już wiemy?

Nasza liga nigdy nie była, nie jest i zapewne jeszcze długo nie będzie cacy. Rozmiary wynaturzeń są tu mniej istotne, bo już klasycy mówili, że „z najdrobniejszej iskry może wybuchnąć płomień”. Za pożarami nie przepadamy, ale najdrobniejsze jego przejawy, prościej mówiąc – gaszenie amoralnych postaw powinno się rozpocząć właśnie od wypaczeń w ligowych klubach. Przede wszystkim tam – już taka fatalna tradycja – kompetentnych

prezesów, sprawnych dyrektorów sportowych, wybitnych trenerów i piłkarzy, a nawet nieco mniejszej rangi urzędników zawsze było za mało. Tylko „chłopców na posyłki”, w dawnych czasach głównie „starszych panów” bywało zazwyczaj nieco więcej. „Działali” jednak w cieniu klubowych prominentów, rzadko ich tam szanowano, a w PZPN traktowano z „przymrużeniem oka”. Wokół wszyscy dobrze wiedzieli o przekrętach w lidze, ale zło tolerowali tak długo – dopóki nie spowszechniało. A potem szalał grzech zaniechania. Wszystko rozchodziło się po kościach. Będzie teraz inaczej? Zanoszą się na kolejne uproszczenia.

Dziś ta pobłażliwość i te naiwne tłumaczenia poprzedników, że „nikt nikogo nie złapał za rękę”, rykoszetem trafia teraz głównie w Listkiewicza. A że skala matactw jest coraz większa, w każdym razie dużo jawniejsza, niejako ryczałtem za „całokształt” – zaniedbania z przeszłości i dzisiejszą opieszałość – niemal wyłącznie obwinia się właśnie dobrodusznego prezesa. W czasie pomundialowej kanikuly media wraz z byłym bramkarzem Janem Tomaszewskim złowrogo donosiły:

...„Dni obecnych szefów PZPN są policzone. Według wiarygodnych źródeł Listkiewicz i jego towarzysze z centrali PZPN utrzymają się na stołkach najwyżej do końca sierpnia! Później władzę nad związkiem obejmie zarząd komisaryczny. Jak dowiedział się „Fakt”, jednym z kandydatów na komisarza PZPN jest Zbigniew Boniek”.

Wiarygodność „Faktu” w tej bulwersującej sprawie, tak jak wiele innych, była jednak warta tyle, co funt kłaków. „Zibi” zdementował to jednoznacznie: – *„Nikt ze mną nie rozmawiał na ten temat i wszelkie informacje o mojej rzekomej nowej roli są jedynie spekulacjami”*. Gazeta jednak nadal drążyła skałę i rychło ujawniła konkurentów Bońka do tej bolszewickiej funkcji. Jako pierwszego sztandarem z hasłem „wielkiej rewolucji moralnej” usiłowano uszczęśliwić „**Nieźlom-**

nego bojownika” Jana Tomaszewskiego, a tuż za nim „żółtodzioba” Radosława Pazdę (27 lat). Jak informowano **„Postać anonimową, ale politycznie mocną”**. Bądź co bądź był wtedy sekretarzem Ligi Polskich Rodzin i znanym działaczem Młodzieży Wszechpolskiej. W wyścigu o fotel komisarza PZPN – jak zapewniał „Fakt” – może liczyć na mocne poparcie wicepremiera Romana Giertycha. To chyba nie musiał się ścigać?...

Intencje autorów tych rewelacji były czytelne. „Czyszczenie” PZPN jest wyraźnym nakazem „woli politycznej” ludzi z wysokiego szczebla, oczywiście miernie skrytej pod płaszczykiem niezbędnej naprawy moralnej i sportowej. Mogą tego dokonać tylko „nasi”, „sami swoi”, bo wyłącznie oni sprawiedliwie i solidarnie działają w imię ogólnego dobra. Wschodzące „gwiazdy” w sztuce naprawy i rządzenia? Niegdyś towarzyszy partyjnych, nie radzących sobie na jakimś znaczącym stanowisku, bez pardonu zsyłano do pracy w sporcie. Teraz mamy inne czasy i inne praktyki, nie ma zsyłki, jest nobilitacja. Kierowanie sportem w ogóle, zwłaszcza PZPN-em jest wyjątkowo smakowitym kąskiem. To może być wymarzona trampolina do wybicia się na bardziej eksponowane stanowisko! W kolejce po przejęcie władzy w PZPN ustawili się bowiem również – niewątpliwie przejęci głębokim „patriotyzmem jutra” – członkowie „Samoobrony”.

Jeden z tuzów tej partii, jak niegdyś dyrektor naczelny zakładów włókienniczych im. Juliana Marchlewskiego w Łodzi (gdy miejscowy sekretarz PZPR nakazał mu objęcie prezesury w ŁKS-ie), odpowiedział z rozbijającą szczerością: – *„Z politycznego namaszczenia z radością zasiądę w fotelu prezesa z ulicy Miodowej w Warszawie. Będę radarem kierował Związkiem z perspektywy eurodeputowanego w Brukseli. Czas przecież na zmiany”*. Już więc nie tylko, jak od lat zapewniał przywódca „Samoobrony” Andrzej Lepper „Balcerowicz musi odejść”, Michał Listkiewicz również. Czyżby nie wiedział, że kto pod kimś dołki kopie, to sam w nie wpada?

Mass media niemal w komplecie też starały się przyspieszyć „rewolucję personalną” w siedzibie „leśnych dziadków”. Dla dobra sprawy – rzecz jasna – i wyłącznie z myślą o uzdrowienie chorych układów! Ochocho w tej wzniosłej misji sekundował „czwartej władzy” minister sportu – Tomasz Lipiec. Mając za plecami tak potężnych sojuszników bez większych przeszkód mógł ów zwierzchnik wszystkich sportów, realizować rządowe zadanie także w PZPN, skąd na dużą odległość – jak domniemywał – zalatywał odór „postkomunistycznej naftaliny”. Każdy chwyt, jak w wolnej amerykance, był tu dozwolony, dobry i – miano nadzieję – również skuteczny. Lada dzień znienawidzony Listkoland zostanie zepchnięty w społeczną i sportową nicłość. Straceńcy?...

Takie to sprawiało wrażenie, bo obrońców ci bezceremonialnie oskarżani... praktycznie nie mieli. Nawet FIFA i UEFA, uważana przez oskarżycieli za „koleśiów leśnych dziadków”, grała na zwłokę. Ręk tak do końca w tej sprawie nie umywała, nie chciała jednak zadzierać z władzą państwową, ani też jednoznacznie pogrążyć swojego członka znad Wisły. Prezydent Blatter i jego dwór wyraźnie optowali za rozwiązaniem kompromisowym:

– Unikając szkodliwego rozgłosu dogadajcie się sami bez nikomu nie potrzebnej ingerencji z zewnątrz. Polacy w znacznie poważniejszych i trudniejszych sprawach już nie raz wykazali obywatelską dojrzałość.

Na takie dictum nieco „miękkły” wojownicze charaktery obu zwaśnionych stron. Mogło się nawet wydawać, że spór o literę prawną STATUTU i strukturę Związku uda się rychło zażegnać. Może też zatrać się różnice w spojrzeniu na ordynację wyborczą, rolę sponsoringu, reklam, umów z telewizją, w ogóle na wyniki sportowe i gospodarkę finansową? Relacje na linii Ministerstwo – PZPN wszak powinny być wzorcowym przykładem partnerskiej współpracy bez natarczywych akcentów politycznych. Także bez złośliwości, bez nacisku, przejawu

ciągłot egoistycznych i postaw antagonistycznych? Musi zwyciężyć dobro futbolu, a nie „widzimi się” uparciuchów!

Wraże strony jednak wciąż inaczej afiszowały swoje racje. Ministerstwo usiłowało przeforsować zapis umożliwiający wgląd władzy państwowej w to, co się dzieje w PZPN, choć wiedziało, że może to wywołać skandal o zasięgu międzynarodowym. Co więcej, FIFA i UEFA może spowodować wykluczenie Polski ze wszystkich rozgrywek międzynarodowych. Związek, broniący swej niezależności organizacyjnej, szkoleniowej i finansowej, akurat w tych kwestiach poczuł się nieco silniejszy w starciu z resortem sportu. Pogrożki o wprowadzeniu na Miodową komisarza mógł więc przyjmować ze względny spokojem. Trwała licytacja na słowa i argumenty. Zwaśnione strony prześcigały się w wymyślaniu wygodnych dla siebie kruczków prawnych. Mocniej atakowało Ministerstwo, natomiast PZPN jak umiał i mógł, w miarę odważnie się odgryzał. Sprzyjał mu bat jakim dość długo Tomasz Lipca straszył Sepp Blatter. Michał Listkiewicz mocniej poczuł się w siodle. Na pytanie „za kogo przeberze się na balu sylwestrowym”, wręcz zakpił sobie z szefa resortu: – „Za ministra Lipca!”.

Najcięższe armaty wytaczane przeciwko PZPN zaczęto powoli usuwać z pola walki i proponować bardziej humanitarne formy sporu. Jednak większość z nich nadal była skażona polityką i cyrkulacją „trefnych” pieniędzy. To zasmucające sprzeniewierzenie się ideałom sportu ma wymiar globalny. Myślę jednak, że natrętnie pleniące się zło nie jest w stanie tak do końca zdławić piękna sportu, doprowadzić do przewagi w nim brudnych intencji nad czystymi, zła nad dobrem, wulgaryzmu nad szlachetnością. Korupcja, o której tak dużo się dziś mówi i pisze (grzęźniemy w niej nie tylko w sporcie), a także te liczne hamulce biurokratyczne, przerosty administracyjne, nepotyzm, działania podstępne i powiedzmy wprost – przestępcze, wcale nie mu-

szą spychać na margines uczynków dobrych, twórczych, przemysłanych, jak mawiali starożytni Rzymianie już „in statu nascendi”, wpisanych w ludzkie umysły i dusze.

Czy współczesność, początek dwudziestego pierwszego wieku, musi prowadzić do zagłady tych ponad czasowych idei? Czy na boisku, w klubie, związku piłkarskim, w Ministerstwie Sportu, w parlamencie i w rządzie: brutalność, brak ogłady, obłuda, dwulicowość, fałsz i pogoń za wszelkimi formami zysku, to musi być wyżej cenione, niż przecież wciąż żywe zasady „fair play”? Nie wolno nam pozostać obojętnym wobec przyszłych pokoleń, które po nas przyjdą i one za kolejne pół wieku zamiast wybijać na pierwszy plan nasze zdrowe pomysły, rekordowe osiągnięcia, urzekające widowiska i bajeczne rozwiązania architektoniczne, będą wytykać korupcję, kłótnie, brak rzeczowego dialogu i – nie daj Boże! – również doping w piłkarstwie. Szermując pojęciem „patriotyzmu jutra”, nie zapominajmy o tak cennym w sporcie „patriotyzmie przeszłości”.

Jest rzeczą chwalebna, że staramy się zwalczać wszelkie w piłkarstwie wynaturzenia. Róbnmy to jednak wspólnie, zgodnie. dla dobra sprawy, a nie na pokaz. Zważmy też, że dotychczas nie zawsze i nie wszędzie czynimy to w formie ucywilizowanej. Nie ma tu ochoty na twórczy dialog, głównie ze strony ministra, jest tylko jednostronny monolog. Niekiedy można odnieść wrażenie, że znowu „**homo homini lapus est**”, czyli „**człowiek człowiekowi wilkiem jest**”. I jeśli, płynąc w tej ważnej kwestii wyraźnie pod prąd, mam śmiałość oburzać się na niemalże jaskiniowe formy zwalczania przeciwnika (tak po prostu walenie maczugą w łeb!), to proszę nie mieć mi tego za złe. Przecież ja też jestem za surowym karaniem przestępców – autentycznych, a nie zmyślonych lub domniemanych. My, niestety – stanowczo za często w ferowaniu wyroków wyprzedzamy niezawisłe sądy. To bardzo osłabia wiarygodność podawanych faktów i... oskarżeń!

Wśród tak prezentowanych informacji wyjątkową rzetelnością, aczkolwiek też zanadto zabarwioną wstawkami typowymi dla parlamentarnej opozycji, wyróżnia się Jacek Korczak-Mleczek, niegdyś jedna z dziennikarskich ikon dawnego tygodnika „Sportowiec”, a do niedawna znacząca postać dziennika „Trybuna”. Język Jacka, w tym zwłaszcza sens tytułów zapowiadających pasję polemicznych felietonów, jest jędrny, dosadny, często przaśny i rubaszny, pełen przy tym zaskakujących porównań, ale z reguły pozbawiony rynsztokowych „skrótów myślowych”. Mieści się w granicach dobrego tonu i norm awangardowej publicystyki. Trudno tam dopatrzeć się tak ekstremalnych epitetów, jak „złoczyńcy”, „przestępcy” lub „gamonie”, czym kilka wysokonakładowych gazet niemal codziennie tytułuje działaczy PZPN. Mój ulubiony „Przegląd Sportowy”, szkoda jednak, że tylko od czasu do czasu, też potrafi zachować dystans do spraw kontrowersyjnych, drażliwych i jeszcze nie do końca wyjaśnionych. Rzadko bywa napastliwy. Takich ludzi pióra wypada mieć dziś pod taką ochroną, jak do niedawna żubry w Białowieży.

Jest to oczywiście w tej drażliwej sprawie mój osobisty pogląd. Nie mam wątpliwości, że daleko odbiega od tez prezentowanych przez bezkompromisowych krytyków krajowego futbolu. Mocno przy tym hałaśliwych, stanowczo za często obrażających przeciwnika, a jednocześnie – łatwo to dostrzec – ślepo wierzących wyłącznie w czyste intencje resortu sportu i wiernie mu sekundującej bulwarowej prasy. Starają się przekonać opinię publiczną, że wszystko skrupulatnie przemyśleli, sportowo celnie uzasadnili i uzyskali na to pełną akceptację społeczną. Szefa ministerstwa postrzegają zaś jako skarbnicę jedynie słusznej wiedzy i galerię cnót wszelakich. Kto śmiałby mieć w tej kwestii nieco inne zdanie, winien być potraktowany jako obrońca przestępczych układów, bądź osoba ubabrana w bagnie korupcji. Taka wykładnia wyklucza merytoryczne rozwiązania. Tym bardziej, że akurat w kwestii korupcji i drobnych szwindli finansowych „przygaduje kocioł garnkowi”.

W dzienniku „Rzeczpospolita” ukazał się artykuł, którego autor Wojciech Cieśla, podważył masowo rozpowszechniane opinie o pomnikowych zaletach ministra. Ukazał więc nieco inną twarz herolda piłkarskiej sanacji:

...„Poważne nadużycia ministra sportu... Jak Tomasz Lipiec wydał publiczne pieniądze... Jak Lipiec kupował katamaran...” I dalej dziennikarz ujawnia konkretne fakty, wyraźnie kontrastujące z nagłaśnianą „czystością moralną” ministra: ...„Dziwne przetargi, fałszowana dokumentacja, łamanie ustawy o finansach publicznych – tak wygląda podsumowanie rządów Tomasza Lipca w stołecznym sporcie... W kilku fakturach audytorzy znaleźli ślady wymazań pieczętek i podpisów... Raport audytorów jest dla ministra miażdżący”...

Jeśli te „rewelacje” okazałyby się prawdziwe, to mandat szefa resortu, upoważniający go do napiętnowania przestępców, rychło straciłby swą moc prawną, a już na pewno – moralną. Ta dwuznaczna sytuacja przypomina praktyki resortu z „pierwszej wojny futbolowej”, to znaczy Jacka Dębskiego z Marianem Dziurowiczem. Wygrał PZPN. Teraz Tomasz Lipiec zwalcza się z Michałem Listkiewiczem. Czy to „zemsta” za tamten nieudany atak? W rozmowie z dziennikarzem Polskiej Agencji Prasowej minister zdecydowanie odparł wszystkie zarzuty: – *„Są w pełni nieprawdziwe... Dla mnie to jest przedziwna sytuacja... Jest to na razie stanowisko jednej ze stron, strony audytorów... Te zarzuty są nierzetelnie przedstawione. Informacja o niepodpisanych fakturach na blisko 2 miliony złotych też jest kłamstwem...”*

Po tych „ministerialnych prawdach” dziennik „Trybuna” dość tajemniczo nazwał Tomasza Lipca „bohaterem roku”. Pozytywnym czy negatywnym? Dla mnie osobiście wyznanie ministra sportu ma wymiar wyjątkowo cenny. Być może nieświadomie, ale celnie trafił w moje gusta w kwestiach kontrowersyjnych. W materii spornej optuję za maksymą: ... „audiatur et altera pars” czyli „należy wysłuchać także drugiej strony”. To najbardziej humanitarny sposób dociekania

prawdy. Niestety, nie wszyscy o tym pamiętają. W cudzym oku z łatwością dostrzeżę się pyłek, natomiast we własnym nie widzi się belki. Złe uczynki usiłujemy przypisywać wyłącznie tym, z którymi nam nie po drodze. „**Duo cum faciunt idem, non est idem**”, to znaczy, „**Gdy dwóch czyni to samo, to nie jest to samo**”. Brzydkie przyzwyczajenie.

Sprawujący władzę sądzą, że tylko oni są nieomylni i bez wad. Z reguły zawsze górą jest ten, kto „tej władzy” ma więcej. W piłkarstwie PZPN też jest władzą, ale słabą i przez nieustanne ataki z zewnątrz – bojaźliwą, wręcz ubezwłasnowolnioną. Stałe wytykanie Związku palcami, słusznie i niesłusznie, za faktyczne i domniemane czyny przestępcze, powoduje, że znaczna część obowiązków statutowych piłkarskiej centrali ogranicza się do odpierania ataków „ludzi stamtąd”. Cierpi na tym głównie szkolenie. W tej przepychance pojawiają się również wątki dla PZPN w miarę korzystne. Z drugiej strony barykady też nie każdy ma czyste ręce, mówiąc dosadniej – niektórzy zwolennicy „rewolucji moralnej” też sprzeniewierzają się głoszonym ideom. Duo cum faciunt idem...

Nasz minister sportu „żoną Cezara” to chyba nie jest. Żadna to pociecha, raczej wstyd o znacznie większym zasięgu. Walka o prawdziwie sportowy wizerunek futbolu byłaby jednak bardziej uzasadniona, wiarygodna i niewątpliwie chwalebna, gdyby osoby pozujące na moralistów też wolni byli od wszelkich podejrzeń. A tu pełnej jasności nie ma. Ludzi ze skazą na życiorysie, obojętnie z jakiej wywodzą się opcji politycznej i jaką funkcję społeczną sprawują, należy karać. To abecadło sprawiedliwości i demokratycznie pojmowanego prawa. Jest po temu dobry klimat, bo już dość dawno wyzwoliliśmy się z czasów, kiedy byli „równi” i „równiejsi”. Ale jeśli mówi się „a”, to trzeba też powiedzieć „b”: – „Zanim ogłosi się wyrok skazujący, należy umożliwić oskarżonemu szansę obrony”.